

EWOLUCJA
WEDEUG
CALPURNII
TATE



JACQUELINE KELLY

Jacqueline Kelly

EWOLUCJA
WEDŁUG
CALPURNII
TATE

z języka angielskiego przełożyła
Katarzyna Roslan



Wydawnictwo Dwie Siostry
Warszawa 2022

Mojej mamie Noeline Kelly
Mojemu tacie Brianowi Kelly'emu
Mojemu mężowi Robertowi Duncanowi



O powstawaniu gatunków

Kiedy młody przyrodnik rozpoczyna studia nad jakąś zupełnie mu nieznaną grupą organizmów, to z początku wielki kłopot sprawia mu pytanie, jakie różnice uważać za gatunkowe, a jakie za odmianowe [...] nie zna on wcale zakresu i rodzaju zmian, którym podlega dana grupa.*

W 1899 roku potrafiliśmy już sobie radzić z ciemnością, ale z tek-sańskimi upałami — jeszcze nie. Wstawaliśmy po ciemku, wiele godzin przed świtem, kiedy na wschodnim niebie rysowała się waziotka smuga błękitu, a pozostała część horyzontu nadal była czarna jak smoła. Każdy zapalał lampę naftową i niósł ją przed sobą niczym małe, blade słońce. Do południa, kiedy piekielny skwar zga-niał wszystkich z pola, musieliśmy zrobić tyle, ile normalnie robi się przez cały dzień. Potem wracaliśmy do domu, w którym pozamykano wszystkie okiennice, i ociekając potem, zalegaliśmy w pokojach o wy-sokich sufitach. Mama próbowała odświeżyć powietrze, spryskując nam prześcieradła wodą kolońską, ale działało to tylko przez chwilę. O trzeciej po południu, kiedy trzeba było wstać, temperatura wciąż była zabójcza.

* Wszystkie cytaty przed rozdziałami pochodzą z: Karol Darwin, *O powstawaniu gatunków*, tłum. Szymon Dickstein i Józef Nusbaum, De Agostini i Ediciones Altaya Polska, Warszawa 2001 (wszystkie przypisy pochodzą od redakcji).

Upał doskwierał wszystkim mieszkańcom Fentress, ale to kobiety, ubrane w halki i gorsety, cierpiały najbardziej (te tortury, przeznczone wyłącznie dla płci pięknej, jeszcze mnie omijały, bo byłam za młoda). Panie luzowały gorsety, ciężko wzdychały, przeczekiwały najgorszy upał i gorąco przeklinały mężów, że przywlekli je ze sobą tu, do hrabstwa Caldwell, by poświęcić się uprawie bawełny i pekanów. Mama na jakiś czas zrezygnowała ze stałych elementów fryzury — podwiniętej sztucznej grzywki i wykonanego z końskiego włosia wypełniacza w kształcie rogala, na którym codziennie upinała misterną konstrukcję z własnych włosów. W takie dni, o ile oczywiście nie mieliśmy gości, zdarzało się nawet, że podstawiała głowę pod kuchenną pompę i kazała Violi, naszej kucharce, w jednej czwartej Murzynce, pompować, aż była do cna przemoczona i ociekająca. Mieliśmy stanowczy zakaz wyśmiewania się z tego nieprawdopodobnego widowiska. Kiedy upał zmuszał mamę do stopniowej rezygnacji z dostojności, nauczyliśmy się (tata również), że najlepiej schodzić jej z drogi.

Nazywam się Calpurnia Virginia Tate, ale w owych czasach wszyscy mówili na mnie Callie Vee. Tamtego lata miałam jedenaście lat i byłam jedyną dziewczynką spośród siedmiorga rodzeństwa. Potraficie sobie wyobrazić coś gorszego? Urodziłam się pośrodku między trzema starszymi braćmi — Harrym, Samem Houstonem i Lamarem, a trzema młodszymi — Travisem, Sulem Rossem i najmłodszym, Jimem Bowie, na którego mówiliśmy J.B. Młodszym chłopcom wciąż zdarzało się zasnąć w dzień. Czasem kładli się razem, tworząc bezładny, splełany stos jak wilgotne, parujące szczeniaki. Robotnicy, którzy przychodzili z pola, oraz mój tata, wracający z biura plantacji, też się kładli. Najpierw polewali się letnią wodą z cynowych wiader przygotowanych na werandzie, a potem padali pokotem na wyplatane łóżka.

To prawda, upał był straszny, ale zarazem przynosił mi wolność. Podczas gdy reszta rodziny przewracała się niespokojnie z boku na bok i próbowała drzemać, ja potajemnie wymykałam się nad rzekę San Marcos i rozkoszowałam chwilą wytchnienia od szkoły, dokuczliwych braci i nakazów mamy. Nie pytałam wprawdzie o pozwolenie, ale też nikt mi tego nie zakazał. Udawało mi się, ponieważ jako jedyna dziewczyna w rodzinie miałam własny pokój na samym końcu korytarza, a moi bracia, którzy nie potrafiliby utrzymać języka za zębami, mieszkali wszyscy razem. Szczerze mówiąc, żadna inna zaleta bycia jedyną siostrą nie przychodziła mi do głowy.

Dom oddzielała od rzeki spora, dziko zarośnięta działka w kształcie półksiężyca. Przedarcie się przez nią byłoby niewykonalnym koszmarem, gdyby nie to, że stali bywalcy tych terenów — psy, jelenie i moi bracia — wydeptali wąską ścieżkę wśród zdradliwych, kolczastych krzaków, sięgających mi czubka głowy i czepiających się włosów i fartuszka, mimo że wciągałam brzuch i przesmykiwałam się bokiem. Kiedy docierałam nad rzekę, zdejmowałam sukienkę i kładłam się na plecach na wodzie. Oblewał mnie miły chłód, a cienka koszulka, niesiona delikatnym prądem, wydymała się wokół mnie niczym balon. Byłam białą plamą, łagodnie kręcącą się na wirach. Patrzyłam w górę, na zwiewne, przypominające pajęczyny gniazda oprzędnic jesiennych, zawieszane w dorodnych koronach nachylonych ku wodzie dębów. Zdawało mi się, że te wykonane z przejrzystej gazy balony, kołyszące się na tle bladoturkusowego nieba, są moim odbiciem.

Tego lata wszyscy mężczyźni prócz mojego dziadka Waltera Tate'a ostrzygli się na króciutko i zgolili gęste brody i wąsy. Przez kilka pierwszych dni, dopóki nie minął szok, jaki każdorazowo wywoływał widok bladej, delikatnej skóry ich policzków i podbródków, wydawali

się goli i bezbronni jak ślepe salamandry. Dziadkowi, co dziwne, upał nie przeszkadzał, mimo że na jego pierś zwieszała się bujna, siwa broda. Tłumaczył to tym, że w życiu kieruje się umiarem, porządkiem i żelazną zasadą, by przed południem nie tykać whisky. Jego nieładnie pachnący stary żakiet* z ogonem jak u jaskółki już wtedy był wyświechtany, ale dziadek nawet nie chciał słyszeć o nowym. Mimo że nasza służąca SanJuanna regularnie przecierała materiał gąbką zamoczoną w benzenie, okrycie wciąż śmierdziało stęchlizną i miało dziwny kolor, ni to czarny, ni zielony.

Dziadek, choć mieszkał razem z nami, był postacią cokolwiek tajemniczą. Już dawno przekazał rodzinny interes jednemu synowi, czyli mojemu tacie, Alfredowi Tate'owi, a teraz spędzał całe dnie na „eksperymentach” w znajdującym się na tyłach domu „laboratorium”. Była to po prostu stara szopa, w której niegdyś mieściły się kwatery niewolników. Jeżeli dziadek akurat nie przebywał w laboratorium, to albo chodził po okolicy i zbierał okazy, albo siedział w mroku biblioteki, gdzie nikt nie śmiał mu przeszkadzać, pogrążony w lekturze jednej ze swych rozsypujących się książek.

Spytałam mamę, czy też mogłabym obciąć włosy, gęste i długie, sięgające prawie do końca pleców, bo było mi w nich strasznie gorąco. Nie, powiedziała, nie będziesz mi tu latać ostrzyżona jak dzikus. Uznałam, że to rażąca niesprawiedliwość, nie wspominając już o upale. Wymyśliłam więc taki plan: jeżeli co tydzień podetnę włosy o cal** — jeden malutki cal — to mama nic nie zauważy. Nie zauważy, ponieważ

* Żakiet — popularny kiedyś rodzaj marynarki o długich połach z tyłu, współcześnie męski strój na eleganckie okazje. Nie mylić z frakiem.

** Cal — jednostka długości równa 2,54 centymetra, używana między innymi w Stanach Zjednoczonych i Wielkiej Brytanii.

jednocześnie będę się kamuflować doskonałymi manierami. Odkryłam bowiem, że kiedy zachowuję się jak dobrze wychowana panienka, często udaje mi się zwieść jej czujność. Mamę zwykle pochłaniały dwie rzeczy — niekończące się sprawy związane z prowadzeniem domu oraz nieustanny harmider, wywoływany przez moich braci. To niewiarogodne, ile hałasu i zamieszania potrafi wzbudzić sześciu chłopców. No i w czasie upałów nasilały się jej migreny, często więc musiała się uciekać do Toniku Roślinnego firmy Lydia Pinkham, powszechnie znanego jako Najlepszy Środek Oczyszczający Krew dla Kobiet.

Tego samego dnia wieczorem wzięłam nożyczki z koszyka na robótki i przejęta, z walącym sercem odciąłem pierwszy cal włosów. Spojrzałam na miękki pęczek, który został mi w dłoni. Oto wychodziłam naprzeciw przyszłości, rozpościerającej się przede mną w świetlanym Nowym Stuleciu, od którego dzieliło nas już tylko kilka miesięcy. To była wiekopomna chwila. W nocy źle spałam w obawie przed porankiem.

Następnego dnia zeszłam na śniadanie na wstrzymanym oddechu. Owsiane batoniki z orzechami pekana smakowały jak tektura. I wiecie, co się stało? Nic, zupełnie nic. No właśnie, otóż to, to typowe dla tej rodziny. Nikt nic nie zauważył przez cztery tygodnie i cztery całe, aż w końcu Viola, nasza kucharka, pewnego ranka rzuciła mi ostrzegawcze spojrzenie. Ale nie szepnęła ani słowa.

Było tak gorąco, że po raz pierwszy w historii mama przestała zapalać świece na żyrandolu do kolacji. Przez dwa tygodnie ja i Harry nie mieliśmy też lekcji pianina, co mi zresztą w pełni odpowiadało. Harry'emu tak pociły się dłonie, że gdy ćwiczył *Menueta G-dur*, na klawiszach, w które uderzał, zostawały brudne ślady, i mimo że mama i SanJuanna próbowały wszelkich sposobów, nie udało im się

przywrócić kości słoniowej dawnego blasku. Poza tym nasza nauczycielka panna Brown była już wiekowa i przyjeżdżała do nas z odległego o trzy mile* Prairie Lea dwukółką, zaprzężoną w zniedołężniałą kobyłę. Jeszcze obie dostałyby udaru i padły gdzieś po drodze, więc lepiej było nie ryzykować. Uważałam, że to wcale niegłupi pomysł.

Ojciec na wieść, że przepadnie nam parę lekcji, powiedział:

— Nie mam nic przeciwko. Chłopakowi potrzebna gra na pianinie jak dziura w moście.

Mama nawet słyszeć o tym nie chciała. Pragnęła, by siedemnastoletni Harry, jej pierworodny, został prawdziwym dżentelmenem, a po skończeniu osiemnastu lat wstąpił na uniwersytet w Austin, pięćdziesiąt mil od domu. Z tego, co pisali w gazecie, uczyło się tam pięćset studentów, w tym siedemnaście pilnie strzeżonych młodych dam, pobierających naukę w Szkole Sztuk Wyzwolonych (mogły wybierać spośród trzech przedmiotów: muzyki, angielskiego i łaciny). Plan ojca był zupełnie inny. Tato chciał, by Harry został przedsiębiorcą, w przyszłości zarządzał plantacją oraz uprawą pekanów, a także wstąpił do Wolnych Masonów jak on sam. Nie sądził jednak, by lekcje pianina szkodziły mu — o ile w ogóle kiedykolwiek się nad tym zastanawiał.

Pod koniec czerwca w naszej lokalnej gazecie „Fentress Indicator” napisali, że temperatura przed budynkiem redakcji, na środku ulicy, wyniosła 106 stopni Fahrenheita**. O temperaturze w cieniu nie wspomniano. Zastanawiałam się czemu, ponieważ absolutnie nikt przy zdrowych zmysłach ani przez sekundę nie stoi na słońcu, no chyba że musi przeskoczyć do następnego cienia, rzucanego przez drze-

* Mila — jednostka długości równa 1,6 kilometra. 3 mile to niecałe 5 kilometrów.

** Skala Fahrenheita — jedna ze skal pomiaru temperatury, do dziś stosowana w Stanach Zjednoczonych. 106 stopni Fahrenheita to 41 stopni Celsjusza.

wo po drugiej stronie ulicy, stodołę czy choćby konia ciągnącego pług. Wydawało mi się, że mieszkańcom naszego miasteczka znacznie bardziej przydałaby się informacja o temperaturze w cieniu. Napisałam więc w tej sprawie wyjątkowo staranny List do Redakcji, który, ku memu zdumieniu, wydrukowano w kolejnym wydaniu gazety. Od tego czasu zaczęto również publikować temperaturę w cieniu. Informacja, że jest zaledwie 98, a nie 106 stopni Fahrenheita, nie wiedzieć czemu — ale jednak — sprawiała, że wszystkim było odrobinę chłodniej.

Bardzo ożywiły się owady, zarówno w domu, jak i na dworze. Koniki polne całymi stadami uskakiwały sprzed końskich kopyt. Świetliki pokazywały się tak licznie, że nikt nie pamiętał równie widowiskowego lata. Co wieczór siadaliśmy z braćmi na werandzie od frontu i urządzaliśmy konkurs, kto pierwszy wypatrzy świętojańskiego robaczka. Nie dość, że mieliśmy przy tym mnóstwo uciechy, to ze zwycięstwem wiązał się spory zaszczyt — mama znalazła w koszyku z szyciem kawałek niebieskiego jedwabiu, wycięła z niego piękny medal, zawiesiła go na długiej wstążce i między kolejnymi napadami migreny wyhaftowała na nim złotą nicią: „Konkurs Świetlikowy w Fentress”. Nagroda była elegancka i niezwykle pożądana. Zwycięzca mógł ją nosić przez cały następny dzień, aż do wieczora.

Kuchnię w niespotykanych dotąd ilościach obległy mrówki. W wojskowym szyku wmaszerowały przez najmniejsze szczeliny między deskami w podłodze lub pod oknem i kierowały się wprost do zlewu. Były zdesperowane i niepowstrzymane. Viola wydała im wojnę, lecz nie odniosła większego sukcesu. Jeśli chodzi o świetliki, to mówiło się o ich obfitości, a jeśli chodzi o mrówki — o pladze. Wtedy pierwszy raz przyszło mi do głowy pytanie — dlaczego? Skąd to rozróżnienie? I jedno, i drugie były przecież stworzeniami, które tak jak my próbują

przetrwąć suszę. Uważałam, że Viola powinna się poddać i zostawić mrówki w spokoju, lecz zmieniłam zdanie, gdy odkryłam, że pieprz w paście jajecznej wcale nie był pieprzem.

Pewne gatunki owadów dosłownie nas opadły, a jednocześnie opuścili nas niektórzy ze stałych lokatorów — na przykład dżdżownice. Moi bracia narzekali na to, ponieważ brakowało im przynęty na ryby, skarżyli się też, że bardzo trudno wykopywać je z twardej, spękanej ziemi. Zastanawialiście się kiedyś, czy da się wytresować dżdżownice? Otóż powiem wam: da się. Rozwiązanie od razu wydało mi się jasne jak słońce: dżdżownice zawsze pojawiają się po deszczu, a co w tym trudnego, żeby zrobić dla nich trochę deszczu? Kilka razy dziennie wylewałam wiadro wody w zacienionym zakątku ogrodu, w krzakach. Po czterech dniach wystarczyło, że wychodziłam z domu z wiadrem, a dżdżownice, słysząc moje kroki zwiastujące wodę, same wylały na powierzchnię. Zbierałam je i sprzedawałam Lamarowi po pensie za sztukę. Lamar mnie męczył, żebym mu powiedziała, skąd je mam, ale nie zrobiłam tego. Przyznałam się jednak Harry’emu, mojemu ulubionemu bratu, przed którym nigdy niczego nie skrywałam (no, prawie).

— Callie Vee — powiedział. — Mam coś dla ciebie.

Podszedł do swojego biurka i wyciągnął z niego czerwony kieszonkowy notes w skórzanej oprawie, z wytłoczonym napisem „Pamiętka z Austin” na okładce.

— Spójrz — dodał. — Nowiutki, nieużywany. Możesz w nim zapisywać swoje obserwacje naukowe. Bo jesteś urodzoną przyrodniczką, masz to we krwi.

Kto to dokładnie jest przyrodnik? Nie byłam do końca pewna, ale postanowiłam, że tego lata nim zostanę. Jeżeli przyrodnik zajmuje się tylko zapisywaniem tego, co wokół siebie widzi, w porządku — po-

trafiłam to robić. A poza tym, kiedy miałam już gdzie zapisywać różne rzeczy, to zaczęłam ich zauważać coraz więcej.

Moje pierwsze notatki dotyczyły psów. Z powodu gorąca leżały nieruchomo na piachu, jakby udawały martwe. Nawet kiedy moi młodsi bracia z nudów szturchali je kijami, nie podnosiły głów. Wstawały tylko po to, żeby się napić z poidła, po czym znów padały na ziemię, wzniecając przy tym obłoki kurzu. Ajaksa, psa myśliwskiego taty, nie zmusiłby do wstania nawet strzał, oddany z odległości stopy* przed jego nosem. Leżał z otwartym pyskiem tak, że mogłam mu policzyć wszystkie zęby. W ten sposób dokonałam ważnego spostrzeżenia — mianowicie, że psie podniebienie jest gęsto żebrowane w głąb, zapewne po to, by zapewnić odpowiedni kierunek przesuwania się wrywającej się ofiary, a kierunek ten nazywa się, rzecz jasna, obiad. Zapisałam to w Notesie.

Zauważyłam też, że wyraz psiej mordy zależy przede wszystkim od ułożenia brwi. Zapisałam: Dlaczego psy mają brwi? Po co psom brwi?

Spytałam o to Harry’ego, ale nie wiedział.

— Idź, zapytaj dziadka, on się na tym zna.

Ale nie poszłam. Senior naszego rodu sam miał gęste, krzaczaście brwi, jak smok, i w ogóle był postacią, która robiła na mnie zbyt wielkie wrażenie, bym kiedykolwiek odważyła się wejść mu na kolana. O ile sobie przypominam, nigdy się do mnie bezpośrednio nie zwrócił, i nie byłam do końca przekonana, czy w ogóle wie, jak mam na imię.

Następnie skierowałam swą uwagę na ptaki. Nie wiedzieć czemu, tego roku przeżywaliśmy prawdziwy nalot kardynałów. Harry żartował, że doczekaliśmy się znakomitych plonów, zupełnie jakby to była

* Stopa — jednostka długości równa ok. 30 centymetrom.

nasza zasługa, jakbyśmy musieli się ciężko naharować, by zebrać ich kolorowe, wesoło upierzone ciała i umieścić na drzewach wzdłuż drogi niczym bombki na choince. Lecz ponieważ było ich tak wiele, a susza pozbawiła je pokarmu w postaci nasion i drobnych owoców, samce toczyły ze sobą zaciekle walki o każde drzewo wiązowca. Wielokrotnie znajdowałam w zaroślach okaleczone ptaki — niespodziewany, przykry widok. Potem, pewnego ranka, na oparciu wiklinowego fotela na werandzie, tuż obok mnie, przysiadła samica. Zamarłam. Gdybym wyciągnęła palec, z łatwością mogłabym jej dotknąć. Z bladopomarańczowego dzioba zwisało jej coś szarobrazowego. Wyglądało jak mysie niemowlę, małe jak naparstek, martwe lub umierające.

Kiedy opowiedziałam o tym przy obiedzie, tato oznajmił:

— Calpurnio, kardynały nie jedzą myszy. Żywią się tylko roślinami. Sam Houston, podaj, proszę, ziemniaki.

— Ach tak. Nie wiedziałam — mruknęłam niepewnie, po czym ogarnęła mnie wściekłość na samą siebie, że nie potrafię obronić czegoś, co sama widziałam, na własne oczy.

Fakt, że kardynały zostały zmuszone do zachowania tak sprzecznego z ich naturą, budził mój wstręt. W takim razie następnym krokiem będzie kanibalizm. Tego samego wieczora, przed pójściem spać, wzięłam ze stajni wiadro jęczmienia i rozsypałam go wzdłuż drogi. Zapisałam w Notesie: *Ile kardynałów będziemy mieli za rok, skoro mają za mało pożywienia? Pamiętaj, żeby policzyć.*

Następnie zanotowałam, że tego lata mamy dwa zupełnie różne rodzaje koników polnych. Te zwykłe, szybkie, szmaragdowe, całe w czarne kropeczki, i ogromne, jaskrawożółte, dwa razy większe, w dodatku apatyczne, jakby nawoskowane i takie grube, że uginają się źdźbła, na które naskakują. Przepytałam wszystkich domowników (prócz dziad-

ka), skąd mogły się wziąć te dziwne żółte, ale nikt nie potrafił mi wyjaśnić. Ba — nikt nie wykazał choćby najmniejszego zainteresowania tematem.

Postanowiłam chwycić się ostatniej deski ratunku — zebrałam się na odwagę i poszłam do laboratorium dziadka. Odsloniłam zasłonę z juty, która służyła za drzwi, i drżąc jak osika, stanęłam w progu. Dziadek podniósł na mnie zdziwione spojrzenie znad blatu, na którym rozlewał ohydny, brązowy płyn do wielu zlewek i retort. Nie zaprosił mnie, bym weszła dalej. Jąkając się, przebrnęłam jakoś przez pytanie dotyczące konika polnego, a on gapił się na mnie, jakby nie miał pojęcia, kim jestem i skąd się wzięłam.

— Och — odezwał się łagodnie — sądzę, że taka inteligentna młoda dama jak ty sama potrafił znaleźć odpowiedź na to pytanie. Koniecznie daj mi znać, jak już coś wymyślisz.

Odrzucił się do mnie plecami i zaczął coś pisać w dużej księdze. I to było wszystko. Moja wizyta u smoka. Trudno ją nazwać sukcesem, lecz nie była też porażką. Smok mnie nie pożarł, ale też wcale mi nie pomógł. Może gdybym poprosiła Harry'ego, żeby ze mną poszedł, dziadek potraktowałby mnie z większą uwagą. Może się rozzłościł, że przerwałam mu pracę, choć z drugiej strony odezwał się do mnie dość uprzejmym tonem. Wiedziałam, nad czym pracuje. Z niezrozumiałego dla mnie powodu postawił sobie za punkt honoru opracować sposób destylacji* orzechów pekana, by uzyskać z nich whisky. Podobno uznał, że skoro doskonały alkohol produkuje się ze zwykłego zboża i pospolitych ziemniaków, to niby dłaczego ma się tego nie robić

* Destylacja — proces odparowywania i oczyszczania substancji w celu oddzielenia jakiegoś jej składnika. W ten sposób uzyskuje się na przykład olejki zapachowe z roślin. Produkt destylacji nazywa się destylatem.

z owoców królewskich drzew, orzeszników jadalnych? A Bóg jeden wie, że w nich dosłownie tonęliśmy. Mieliliśmy sześćset akrów ziemi*.

Wróciłam do swojego pokoju i zaczęłam rozmyślać nad tajemnicą koników polnych. Na toaletce trzymałam w słoiku jednego małego zielonego pasikonika, gapiałam się więc na niego w poszukiwaniu inspiracji. Żadnego z tych dużych, żółtych, nie udało mi się złapać, mimo że poruszały się dużo bardziej ociężale.

— Czemu jesteście inne? — spytałam, ale pasikonik nie chciał mi odpowiedzieć.

Następnego dnia jak co dzień obudziło mnie chrobotanie w ścianie przylegającej do łóżka. To opos, mieszkaniec pustej przestrzeni między ścianą zewnętrzną a wewnętrzną, o stałej porze wracał do kryjówki. Wkrótce potem usłyszałam trzask okien, otwieranych przez SanJuanę w salonie na dole, bezpośrednio pod moim pokojem. Usiadłam na wysokim, mosiężnym łóżku i nagle mnie oświeciło — grube żółte pasikoniki musiały być całkowicie nowym gatunkiem, różnym i odrębnym od tych zielonych, a ja — Calpurnia Virginia Tate — właśnie go odkryłam! A czy nie jest tak, że nowy gatunek nazywa się od imienia i nazwiska odkrywcy? Więc będę sławna! Wieść o mnie rozniesie się po całym świecie, gubernator uściśnie mi rękę, a uniwersytet przyzna mi dyplom.

Tylko co miałam teraz zrobić? Jak i komu zgłosić, że dokonałam odkrycia? Chyba powinnam do kogoś napisać — do kogoś ważnego w Waszyngtonie.

Nieraz słyszałam, jak dziadek i pan Barker, nasz pastor, rozmawiają przy stole o książce Karola Darwina *O powstawaniu gatunków*,

* Akr — jednostka powierzchni równa 4000 metrów kwadratowych. 600 akrów to około 240 hektarów, mniej więcej tyle, ile 340 profesjonalnych boisk do piłki nożnej.

o szczątkach dinozaurów wykopanych w Kolorado i jak to się wszystko ma do *Księgi Rodzaju*. Mówili o tym, że Natura eliminuje jednostki słabe, a silne pozostawia przy życiu. Nasza nauczycielka, panna Harbottle, potraktowała temat teorii Darwina bardzo przelotnie, i wyglądała przy tym na ogromnie zakłopotaną. Z całą pewnością książka omawiająca pochodzenie gatunków podpowie mi, co robić. Tylko jak ją dostać w swoje ręce, skoro w naszych stronach temat wciąż budzi tyle kontrowersji? W San Antonio działało nawet, i to aktywnie, Stowarzyszenie „Płaska Ziemia”.

Wtedy sobie przypomniałam, że Harry ma jechać dużym wozem po zakupy do Lockhart. Lockhart było stolicą hrabstwa Caldwell. Znajdowała się tam biblioteka. Książki. Musiałam tylko ubłagać Harry’ego, jedynego z braci, który nigdy niczego mi nie odmawiał, żeby wziął mnie ze sobą.

Spis treści

Rozdział 1	O powstawaniu gatunków	Rozdział 16	Pojawia się telefon
Rozdział 2	Wspaniały poranek	Rozdział 17	Nauka prowadzenia domu
Rozdział 3	Kot i opos	Rozdział 18	Lekcje gotowania
Rozdział 4	Viola	Rozdział 19	Swego rodzaju sukces destylacyjny
Rozdział 5	W laboratorium	Rozdział 20	Wielkie urodziny
Rozdział 6	Lekcje muzyki	Rozdział 21	Imperatyw reprodukcyjny
Rozdział 7	Harry poznaje dziewczynę	Rozdział 22	Święto Dziękczynienia
Rozdział 8	Mikroskop	Rozdział 23	Jarmark w Fentress
Rozdział 9	Piotruś	Rozdział 24	Harry znowu uderza w konkury
Rozdział 10	Lula powoduje kłopoty (ale nieumyślnie)	Rozdział 25	Wigilia Bożego Narodzenia
Rozdział 11	Robótki ręczne	Rozdział 26	Nadchodzą wieści
Rozdział 12	Badanie naukowe	Rozdział 27	Sylwester
Rozdział 13	Korespondencja naukowa	Rozdział 28	Rok 1900
Rozdział 14	Krótką motyka		
Rozdział 15	Morze bawelny		Podziękowania

Tytuł oryginału: *The Evolution of Calpurnia Tate*

© Copyright 2009 by Jacqueline Kelly. Published by agreement with Folio Literary Management, LLC and GRAAL Literary Agency.

© Copyright for the Polish edition by Wydawnictwo Dwie Siostry, Warszawa 2022

© Copyright for the Polish translation by Katarzyna Roslan, 2016

wydanie I

ISBN 978-83-8150-404-1

wydawnictwodwiesiostry.pl

redakcja: Dominika Cieśla-Szymańska

korekta: Beata Wójcik

Ta książka jest dziełem twórcy i wydawcy. Prosimy o przestrzeganie praw, jakie im przysługują. Jej zawartość możesz udostępnić nieodpłatnie osobom bliskim lub osobiście znanym. Ale nie publikuj jej w internecie. Jeśli cytujesz jej fragmenty, nie zmieniaj ich treści i koniecznie zaznacz, czyje to dzieło. A kopiując ją, rób to jedynie na użytek osobisty.

Szanujmy cudzą własność i prawo!

Polska Izba Książki

Wydawnictwo Dwie Siostry sp. z o.o.

al. 3 Maja 2 m. 183

00-391 Warszawa

Biblioteki, szkoły, przedszkola, księgarnie i inne instytucje zainteresowane ofertą specjalną zachęcamy do kontaktu z działem handlowym (marketing@wydawnictwodwiesiostry.pl, +48 577 888 278).